

Temat tygodnia

- 12 Ewa Siedlecka
Reprywatyzacja według ministra Jakiego
- 15 Edwin Bendyk
Ile wsi we wsi

Polityka

- 19 Rafał Kalukin **Nowa prawica Jarosława Gowina**
- 22 Piotr Pytlakowski **Jak władza walczy z obywatelami**

Społeczeństwo

- 24 Edyta Gietka **Zachwycający zawód youtubera**
- 28 Joanna Podgórska **Dlaczego znikają koła łowieckie**

Rynek

- 30 Joanna Solska **Czyje są spółki Skarbu Państwa**
- 33 Adam Grzeszak **Zachód wysyła nam gorsze towary?**
- 36 Rozmowa z futurologiem **Kaiem Goerlichem** o świecie opanowanym przez maszyny

Świat

- 38 Jędrzej Winięcki **EUROPA ŚRODKOWA Zderzenia politycznych trójkątów**
- 41 Artur Domosławski **HISZPANIA FC Barcelona – kwintesencja Katalonii**
- 44 Wiesław Romanowski **ROSJA „Matylda”: skandal przed premierą**

Historia

- 46 Grzegorz Motyka **Historia NSZ w wersji IPN**
- 49 Anna Brzezińska **Reformacja – co dała kobietom, a co im zabrała**

Nauka

- 52 O polskim zaangażowaniu w badania kosmiczne mówi **dr Aleksandra Bukała**
- 55 Agnieszka Krzemińska **Jak ratować żydowskie nekropolie**
- 58 Rafał Romanowski **Bez kobiet branża informatyczna nie da rady**



15

Wieś zwycięża miasto



24

Youtuber porywa tłumy



68

Katarzyna Nosowska – kolejne 25 lat



86

Protest ostateczny

- 60 TECHNOECHO
- 62 Paweł Walewski
Co leczy witamina D

Kultura

- 68 O końcu Hey i dalszej karierze mówi piosenkarka **Katarzyna Nosowska**
- 72 Janusz Wróblewski **Ostro o Rosji w „Łagodnej” Sergieja Łożnicy**
- 74 Piotr Sarzyński **Jak udoskonalić podwórko? – krakowskie biennale architektoniczne**
- 77 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
- 78 Rozmowa z **Marcinem Świetlickim** o jego wydanej w formie wywiadu autobiografii
- 80 Aneta Kyzioł **Metafizyka, dziwność, niepewność, czyli współczesne seriale**
- 83 NAGRODY NAUKOWE POLITYKI – laureaci
- 86 REAKCJE Agnieszka Holland **Dramat samospalen**

Na własne oczy

- 92 Tekst Magda Działoszyńska, fotografie Leszek Zych **Jak żyje Republika Artystów Užupis w Wilnie**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 64 Afisz • 88 Do i od redakcji
- 90 Passent • 91 Chutnik i Plebanek
- 98 Polityka i obyczaj

UWAGA CZYTELNICY!
Kolejny numer ukaże się

we wtorek

31
października



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Potrzeba więcej Muszyńskich

Doniesienia „Gazety Wyborczej” o tym, że prezes Julia Przyłębska i wiceprezes Mariusz Muszyński zostali wprowadzeni do Trybunału Konstytucyjnego przez tajne służby, przyjąłem z ulgą. Miejmy nadzieję, że te informacje się potwierdzą, bo uważam, że decyzje o tym, kto ma być prezesem i wiceprezesem TK, są zbyt ważne, żeby zostawiać je ludziom spoza służb. Jednocześnie cieszę się, że służby nie zaryzykowały obsadzenia tych stanowisk prawnikami posiadającymi jakiś zawodowy dorobek, ale wydelegowały na te funkcje sprawdzonego oficera wywiadu i jego współpracownicę. To trafny wybór, biorąc pod uwagę, że wiceprezes Muszyński swego czasu był oficerem prowadzącym prezes Przyłębską, i to jak widać prowadzącym na tyle dobrze, że doprowadził ją do miejsca, w którym dzisiaj jest. Nie wiem tylko, czy zachwyty nad sędzią Przyłębską nie są przedwczesne, bo np. koordynator służb specjalnych Mariusz Kamiński twierdzi, że Przyłębska nie jest i nigdy nie była współpracownicą służb. Wierzę, że ta informacja się nie potwierdzi, gdyż stawiałaby pod znakiem zapytania przydatność tej sędzi do kierowania Trybunałem. Na szczęście ujawnione przez media sekretne spotkania Przyłębskiej z Kamińskim w siedzibie TK dowodzą, że nawet jeśli dotąd ze służbami nie współpracowała, to właśnie zaczęła.



W każdym razie do czasu aż współpraca Kamińskiego z Przyłębską się ułoży, w kierowaniu Trybunałem zastępuje ją Muszyński. Cóż, może faktycznie Muszyński z wyglądu za bardzo wiceprezesa TK nie przypomina, ale przecież jego zadanie nie polega na przypominaniu wiceprezesa, tylko na przekonywaniu do współpracy tych członków TK, którzy nie są jeszcze do niej przekonani. A do tego celu moim zdaniem Mariusz Muszyński ma bardzo przekonujący zarówno wygląd, jak i manieri.

Generalnie, podobnie jak służby, jestem za tym, aby ludzi takich jak Muszyński było na najważniejszych stanowiskach w państwie jak najwięcej. Do czego prowadzi pozostawianie tych stanowisk osobom niezwiązanym ze służbami, widać na przykładzie Andrzeja Dudy. Wielu polityków PiS uważa, że Muszyński byłby prezydentem lepszym niż Andrzej Duda, i trudno się z tym nie zgodzić, bo decyzje tego ostatniego pokazują, że posiada on poważne braki, a największym jest brak porządnego oficera prowadzącego, co ludzie reprezentujący różne siły próbują wykorzystać do przejęcia kontroli nad nim. Według jednych źródeł chodzi tu o ludzi z dawnego WSI, a według innych – o żonę Agatę. Zastanawiam się, która z tych ewentualności bardziej niepokoi prezesa PiS.



KETTLER

UPOMINEK FITNESS
do każdego nowego
modelu roweru*

GIRO R
3 390 zł
2 690 zł



ERGO C 10
4 600 zł
3 890 zł



RIVO M
2 460 zł
2 090 zł



GOLF C2
2 250 zł
1 990 zł



SKYLON 1.1
4 390 zł
3 690 zł



COACH S
7 900 zł
6 290 zł



RACE
4 900 zł
4 100 zł



RUN 7
9 390 zł
6 590 zł



RUN 11
11 990 zł
8 490 zł



TRAC 3
6 790 zł
5 490 zł



NOWA ODSEJONA ROWERÓW KETTLER



SALONY FIRMOWE • www.kettler.pl

WARSZAWA, ul. Okopowa 56 (przy CH KLIF), tel. 22 887 46 17 • KATOWICE, ul. Chorzowska 108, tel. 32 201 17 66 • KRAKÓW, ul. Pilotów 33, tel. 12 421 20 04 • POZNAŃ, ul. Obornicka 337, tel. 61 843 96 65 • SZCZECIN, ul. Hangarowa 13, tel. 91 488 49 64 (C.H. Top Shopping) • GDYNIA, ul. Morska 62, tel. 58 661 81 18 • ŁÓDŹ, ul. Kopcińskiego 41, tel. 42 684 90 70
Promocja na wybrane produkty sportowe obowiązuje w okresie od 02.09 - 31.10.2017 r. lub do wyczerpania zapasów asortymentu promocyjnego. Szczegóły w salonach firmowych. Akcje promocyjne nie sumują się.

*Do każdego zakupu nowego modelu roweru upominek Fitness do odbioru w salonach firmowych Kettler i u wybranych sprzedawców.



Totalna propozycja



Jerzy Baczyński

No wreszcie. Platforma Obywatelska dała oznaki życia. Na PO, a zwłaszcza na jej liderze Grzegorz Schetynie, od kilku miesięcy używali sobie wszyscy. Może nawet szczególnie złośliwie i gorzko przeciwnicy PiS. Systematycznie spadające notowania partii, ostatnio coraz częściej poniżej alarmowego poziomu 20 proc., potwierdzały opinie, że cała formacja wędnie, wchodzi w kryzys, który za moment może doprowadzić do jej rozpadu czy wręcz unicestwienia. Pojawiły się pierwsze wyraźne ruchy rozłamowe, bo tak pewnie trzeba odczytywać deklarację programową ogłoszoną przez posłankę Joannę Muchę, uważaną za jedną z liderów „frakcji młodych”, czyli partyjnych 40-latków. Ale bodaj najgorsze, co wizerunkowo przytrafiło się Platformie, to sondaże wskazujące, że Grzegorz Schetyna ma ledwie kilkunastoprocentowe poparcie elektoratu PO, a w ogólnych rankingach zaufania do polityków grzęźnie gdzieś na dole listy, w okolicach Antoniego Macierewicza.

Schetyna, do którego przyłgnęła opinia aparatczyka i człowieka pozbawionego charyzmy, zaczął być postrzegany jako obciążenie partii, personalny gwarant wyborczej porażki. Nieważne, na ile ten wizerunek był wykrzywiony i dla Schetyny krzywdzący – w polityce jest tak, jak uważają wyborcy, a oni pana Grzegorza nie polubili. Siłą Schetyny pozostawała ostatnio już głównie jego niezastępowalność. W tej sytuacji zwołana do Łodzi Konwencja Samorządowa PO zapowiedziała raczej kolejną partyjną liturgię, rutynowe, bez żaru i wiary, klepanie antypisowskiego różańca. A tu proszę; może nie sensacja, ale prawdziwa niespodzianka.

Grzegorz Schetyna miał wreszcie dobrze napisane i, co ważniejsze, dobrze wygłoszone (nie ma co się wstydzić promptera) przemówienie. Być może najlepsze od dwóch lat, również dlatego, że – jak zauważono – bodaj ani razu nie padła nazwa PiS ani nazwisko Kaczyński. I to nie mogło być przypadkowe, jakby w ten sposób Schetyna chciał odpowiedzieć wszystkim krytykom na zarzut, że partia pod jego kierownictwem tylko reaguje na czyny i słowa PiS, a sama nie ma nic do powiedzenia. Stąd zręczny retoryczny zwrot, że zamiast „totalnej opozycji” PO przedstawia „totalną propozycję”. I tych propozycji było rzeczywiście sporo, choć niektóre jedynie w formie haseł. Samorządy dostały propozycję zwiększenia podatkowych przychodów, kompetencji oraz niezależności, krępowanej przez wrogich dziś wojewodów. (Pomysł likwidacji urzędów wojewódzkich zapewne samorządowcom się spodoba, ale PO musi teraz uspokoić wyborców, że nie oznacza to bynajmniej pełnej samowoli lokalnych polityków). Każdy rzucony w Łodzi pomysł Platformy ma jakąś drugą stronę

wymagającą dopowiedzenia. Jak choćby idea rozszerzenia programu 500 plus na pierwsze dziecko czy wypłaty „trzynastej emerytury” – gdzie jakaś, nawet zgrubna, kalkulacja by się przydała. PiS, w swoim czasie, ograniczył się do zaśpiewów, że „wystarczy nie kraść”, ale obawiam się, elektorat PO jest bardziej wymagający i inaczej był edukowany.

Wsumie Platforma w wersji 2.0 chce być widziana jako ugrupowanie nie centrowe, umiarkowane, powracające do idei „społecznej gospodarki rynkowej”, ale bynajmniej nie w formie sprzed 2015 r. Kierownictwo partii jest chyba świadome, że do Tuskowej – luzackiej i „nienarzucającej się społeczeństwu” – PO już nie ma powrotu, że owo społeczeństwo, nie tylko wskutek pisowskiej propagandy, chce sprawnego, aktywnego, troskliwego państwa i „Polska po PiS” musi znaleźć nową równowagę między (mówiąc metaforycznym skrótem) wolnością a solidarnością. Ciekawe i chyba słuszne, że PO, dokonując w Łodzi swojej redefinicji, zostawiła sporo politycznego miejsca przyszłej (zjednoczonej?) lewicy, oddając jej np. wszystkie postulaty i rewindykacje obywatelskie, kulturalne, równościowe, świeckie. Entuzjazm sali wywołała obietnica uchwalenia (po wyborczym zwycięstwie) Aktu Odnowy Demokracji, przywracającego do życia Trybunał Konstytucyjny, niezależną prokuraturę, publiczne media (i zapewne inne zniszczone przez PiS instytucje państwa). W ten sposób Platforma wypowiedziała się jednoznacznie przeciwko popularnej dziś tezie, że Polacy nie szanują i nie rozumieją instytucji demokratycznych, że w zamian za iluzję narodowej wielkości, bezpieczeństwa i hojnego socjału chętnie zaakceptują zamordyzm. Rozstrzelone i kakofoniczne wyniki badań opinii publicznej nie dają jednoznacznej odpowiedzi, jakiego państwa chcą dziś Polacy, ale wokół hasła obrony wartości demokratycznych pewnie da się zbudować jakąś nieznacznie większościową antypisowską formację. Czy zdolną aż do stworzenia wspólnych list wyborczych, tego jeszcze powiedzieć się nie da.

Głównym motywem wszystkich politycznych wydarzeń ostatnich dni było demonstrowanie (i poszukiwanie) jedności. Konwencja Samorządowa PO miała być pokazem skupienia Platformy wokół ożywionego nową energią lidera oraz ofertą programowego zbliżania, może nawet jednoczenia z Nowoczesną. Ryszard Petru też zaproponował jedność opozycji w wyborach samorządowych (w formule 1/3 jedności dla mnie, 1/3 dla PO, reszta dla reszty). W miniony weekend wszystkie formacje lewicowe podpisały jednoczącą deklarację o świekości państwa. Na hasło Wielkiej Koalicji Opozycyjnej PiS odpowiedział konferencja Trzech Liderów Kaczyński-Gowin-Ziobro, którzy mieli do zakomunikowania, że Zjednoczona Prawica jest zjednoczona, być może także z prezydentem Dudą. Wygłoszone ponuro, zdawkowo (bez patrzania sobie w oczy i bez możliwości zadawania pytań) zapewnienia o jedności brzmiały nieprzekonująco. Ale taki jest moment politycznego cyklu: równo na rok przed pierwszymi nowymi wyborami wszyscy prowadzą wojnę na miny, mówią o wewnętrznej sile swoich formacji i poszerzaniu bloków. Jednoczą się, że aż strach. W tej grze pozorów chyba tylko Platformie udało się teraz coś realnie osiągnąć: określiła sobie jakieś zadania, tematy, rzutem na taśmę swoją pozycję uratowała Schetyna, a jeśli jeszcze sondaże drgną w górę, powinna ocaleć spoiwość formacji. To byłaby dobra wiadomość. PO – przy wszystkich westchnieniach „niestety” – wciąż jest największą partią opozycyjną, a Grzegorz Schetyna jej przewodniczącym.

Jan Koza



© JAN KOZA

KOMENTARZ

Kurtuazyjny prezydent



Łukasz Wójcik

Polska popierała i popiera starania Turcji o wstąpienie do Unii Europejskiej – tego dowiedzieliśmy się od prezydenta Andrzeja Dudy podczas ubiegłotygodniowej wizyty jego tureckiego odpowiednika w Warszawie. To zaskakujące oświadczenie. Ale najpierw słowo o samym spotkaniu. Jako pierwszy kraj Unii gościliśmy w ramach bilateralnej wizyty Recepta Tayyipa Erdoğan, który – odkąd przetrwał w zeszłym roku zamach wojskowy – zamknął już w więzieniach ponad 100 tys. domniemyanych spiskowców, za kratkami trzyma też 302 dziennikarzy

(najwięcej na świecie). Polski prezydent nie zająknął się w tej sprawie, nieprzekonująco też brzmiał minister Łapiński, który twierdził, że rozmawiano o tym bez kamer. Można było odnieść wrażenie, że prezydent Duda wręcz Erdoğanowi współczuje tak skomplikowanej sytuacji w kraju.

Wracając jednak do Unii. Można sobie wyobrazić, że obecna polska władza widzi możliwe korzyści z członkostwa Turcji. Rozwodniłoby to chociażby plany głębszej integracji Unii, wzmocniło konserwatywizm obyczajowy w Brukseli. Choć jednocześnie trudno to pogodzić z antymuzułmańską retoryką niektórych ministrów. Ale przyjmijmy, że mamy taki cel strategiczny. Można by więc zakładać, że Polska prowadzi jakieś działania na forum Unii, aby to tureckie członkostwo przybliżyć. I tu zaskoczenie (?): otóż, Polska nic w tej sprawie nie robi. Wręcz przeciwnie, w Unii trwa ożywiona dyskusja, czy negocjacji członkowskich z Turcją nie zamrozić, co przy obecnych nastrojach byłoby równoznaczne z ich ostatecznym zerwaniem. Mało tego, sam Erdoğan już nie chce do Unii. Jeden z ekspertów bliskich Pałacowi Prezydenckiemu powiedział nam, że to była „deklaracja kurtuazyjna”, że tak się robi dla dobrej atmosfery.

To już wygląda na specjalność prezydenta Dudy. Gdy rok temu, podczas wystąpienia w kijowskiej akademii dyplomatycznej, zaprosił Ukrainę do projektu Trójmorza, wszyscy byli zaskoczeni. Zarówno pozostałe państwa z Europy Środkowej, jak i sami Ukraińcy. Ci pierwsi dlatego, że Polacy już ich o to pytali i usłyszeli kategoryczne „nie”. I ci drudzy, bo wiedzieli, że ci pierwsi powiedzieli kategorycznie „nie”. Czy prezydent o tym wiedział? Czy może była to kolejna „deklaracja kurtuazyjna”. Zresztą, Kancelaria Prezydenta w podobny sposób potraktowała całą ideę Trójmorza. Z początku była ona prezentowana jako projekt polityczny, który – tu już mój domysł – w Unii miał stanowić przeciwwagę dla Niemiec i Francji. Gdy polska strona pojęła, że partnerzy z regionu ani myślą o takiej politycznej formule, nagle okazało się, że chodzi wyłącznie o wspólne budowanie dróg i gazociągów. Nasuwa się tylko pytanie: a co z wiarygodnością Polski?

Zdaje się, że prezydent Duda w polityce zagranicznej upodobał sobie tzw. rozpoznanie bojem. Publicznie rzuca kolejne wątpliwe pomysły, a potem – w przypadku oporu – gładko się z nich wycofuje. Nikt tego przed nim nie robił.

KOMENTARZ

Ciało jako narzędzie protestu



Ewa Siedlecka

Protestacyjne samospalenie mężczyzny w piątek pod Pałacem Kultury okazało się kłopotem dla wszystkich. PiS boi się, że opinia publiczna zrobi z niego drugiego Ryszarda Siwca (samospalenie na Stadionie Dziesięciolecia podczas państwowych dożynek w 1968 r.). Wtedy władze PRL zrobiły wszystko, by sprawę wyciszyć i ukryć przed opinią publiczną. Z kolei „antypis” boi się oskarżenia, że to skutek tego, jak „opozycja totalna” pierze ludziami mózgi. Wszyscy zaś boją się, że nagłaśnianie tego gestu zachęci naśladowców.

Ale stało się. I nie sposób nie zauważyć, że był to zaplanowany, świadomy,

najdramatyczniejszy z możliwych, protest polityczny w obronie demokratycznego państwa prawa, które jest naprawdę poważnie zagrożone. Pomijanie tego jest okazywaniem braku szacunku dla tego człowieka. Dlaczego aż tak drastyczna forma? Z manifestu, jaki zostawił (wiemy, że na imię ma Piotr, ma 54 lata i nie udzielał się politycznie), wynika, że z poczucia całkowitej bezradności. Kiedy nie ma mechanizmów państwa prawa – można uznać, że pozostaje własne ciało.

Pierwszymi, którzy własnych ciał zaczęli używać do protestu, są Obywatele RP. Tymi ciałami blokują przemarsze neonazistów, łamią zakaz protestów przeciw miesięcznicowym marszom smoleńskim, „wdzierają się” (tak nazywa to władza) na teren Sejmu, naruszając „mir domowy” marszałka Kuchcińskiego, który zamknął Sejm przed „suwerenem”. Ryzykują wolność i nietykalność cielesną, stosując obywatelski sprzeciw polegający na łamaniu prawa, które uznają za bezprawne. I stają jako oskarżeni przed sądami, mając nadzieję, że sędziowie przyznają, że prawa, przeciwko którym protestują, łamią konstytucyjnie.

Trwa strajk głodowy lekarzy rezydentów. Też używają własnych ciał, by wywalczyć zwiększenie nakładów na służbę

zdrowia i na własne pensje, których wysokość powoduje, że muszą dorabiać kosztem pacjentów lub emigrować z Polski. Pod ich adresem – jak w przypadku samospalenia pod Pałacem Kultury – też padają opinie, że ta forma protestu jest zbyt drastyczna.

Krytycy mówią: nie żyjemy jeszcze w państwie totalitarnym, w którym można by się posuwać do takich gestów. Jednak żyjemy w państwie, w którym rozmontowano mechanizmy kontroli władzy. W którym niszczy się niezależność sądownictwa, ogradza parlament przed obywatelami. W którym, odcinając dotacje, rządzący usiłują unieemożliwić działalność organizacjom pozarządowym ceniącym inne niż władza wartości. W takim państwie obywatel nie ma żadnych środków obrony przed omnipotencją państwa. Do tego dochodzi propagandowe odwracanie znaczenia słów: niszczenie demokracji jest jej wzmocnianiem, wykluczanie całych grup społecznych – zaprowadzaniem społecznej sprawiedliwości; ksenofobia – patriotyzmem; cenzura i ograniczanie zgromadzeń – wolnością, a egoizm i ksbobność – cnotami. Zjawisko używania własnych ciał do protestu pokazuje, że coraz więcej osób ma poczucie życia w opresji i sytuacji bez wyjścia.

Agnieszka Holland o samospaleniu – s. 86.

Spalony, zatopiony

Wygłąda na to, że Marynarka Wojenna straciła swój ostatni pełnowartościowy okręt podwodny. Kilkanaście dni temu, w trakcie prac konserwacyjnych na ORP „Orzeł” doszło do pożaru w przedziale z akumulatorami zasilającymi jednostkę. Pożar był na tyle duży, że na miejsce ściągnięto również cywilne zastępy straży pożarnej. Ze względu na specyfikę gaszenia okrętu podwodnego jednostka zalana została dużą ilością piany pożarnej. Pożar ugaszono, ale przy okazji zalano wyposażenie jednostki.

Do pożaru doszło w czasie nocnych prac, kiedy przy okręcie pracowało zaledwie kilka osób. Nikt nie odniósł poważnych obrażeń. Za to do dziś nie wiadomo, jak bardzo uszkodzony jest okręt i czy jego ewentualna naprawa będzie opłacalna. MON nie odpowiedział



© PIOTR PEDZISZEWSKI/PAP

na pytania wysłane w tej sprawie, a postępowanie objęte jest tajemnicą. Według specjalistów pożar na „Orle” może oznaczać ostateczne przypieczerowanie losu jednostki. W lutym 2014 r. okręt wysłano do remontu, który miał trwać 9 miesięcy, ale przeciągnął się do początku kolejnego roku. Jednak w czasie wychodzenia z suchego doku doszło do poważnego uszkodzenia jednostki: okręt zawadził o poszycie doku lewą burtą. Winą za wypadek wykonawca, który wynajął holownik, przerzucił się z załogą, która nadzorowała manewr. Marynarka odmówiła wówczas komentarza. Sprawa zakończyła się dymisją dowódcy okrętu. Jednostka została uziemiona w oczekiwaniu na kolejny remont, bo pojawiły się obawy, że w czasie wypadku oprócz zmiążdżenia części poszycia doszło również do poważniejszych uszkodzeń, w tym kluczowych elementów układu napędowego – wału i śruby. Po kilku miesiącach poinformowano, że okręt zostanie przekazany MW pod koniec lutego 2016 r. Wykonawca prac remontowych po raz kolejny nie dotrzymał jednak tego terminu. Marynarka miała zastrzeżenia do stanu technicznego okrętu i nie wprowadziła go do służby operacyjnej. Po dwóch latach remontu ORP „Orzeł” zamiast do służby znów został skierowany do naprawy.

Następstwem pożaru może być to, że polska Marynarka straci ostatni okręt podwodny zdolny do działań bojowych. Pozostałe cztery, którymi dysponuje MW, należą do najstarszych na świecie. Służbę zaczęły na początku lat 60. zeszłego wieku. Polska przejęła je w 2002 r., gdy Norwegia postanowiła je wycofać. Początkowo miały służyć zaledwie pięć lat, ale termin wyjścia ze służby wielokrotnie przesuwano, ustalając ostatecznie, że nieprzekraczalną datą będzie rok 2016. Służą do dziś. (JULL)

Patrioci

Czy prokuratura znów chce ratować kontrowersyjnego byłego księdza Jacka Międlara z sądowej opresji?

Prokuratura Zbigniewa Ziobry wykazuje niespotykaną aktywność w trosce o Jacka Międlara, aspirującego do przewodzenia polskim nacjonalistom. We wrześniu 2017 r. sąd skazał Jacka Międlara za znieważenie na pół roku prac społecznych. O pisemne uzasadnienie wyroku w tej sprawie wystąpił do sądu szef prokuratury rejonowej, co zwykle jest zapowiedzią apelacji. Odbyło się to wbrew stanowisku prokuratora, który w tej sprawie oskarżał i z wyrokiem się zgadza. W warszawskim Sądzie Rejonowym zjawił się wysłannik prokuratury i sfotografował akta sprawy. W piątek 13 października sąd napisał i wysłał do prokuratury uzasadnienie wyroku z aktami sprawy, czego zresztą od razu domagała się prokuratura we wniosku o uzasadnienie. Jak ustaliliśmy, materiały z sądu zostały przekazane w ostatnich dniach z rejonu do Prokuratury Krajowej. Na złożenie apelacji jest 14 dni, więc w tym tygodniu dowiemy się, co postanowi w sprawie wyroku na Międlara prokuratura.

28-letni Międlar to były ksiądz znany z głoszenia nacjonalistycznych haseł, założyciel stowarzyszenia Wielka Polska Niepodległa. Proces dotyczył wpisu, który zamieścił w sierpniu 2016 r., odnoszącego się do posłanki Nowoczesnej Joanny Sheuring-Wielgus: „Konfidentka, zwolenniczka zabijania (aborcji) i islamizacji. Kiedyś dla takich była brzytwa! Dziś prawda i modlitwa?”. Posłanka uznała to za groźbę i zawiadomiła prokuraturę. Sprawa trafiła do rejonu, do prokuratora Dariusza Korneluka. To były wieloletni szef warszawskiej prokuratury apelacyjnej, zdegradowany dwie instancje niżej, do Śródmieścia, przez Zbigniewa Ziobrę. Korneluk oskarżył Międlara o publiczne nawoływanie do przestępstwa i groźbę karalną. Na początku czerwca tego roku ruszył proces, który ściągnął do sądu rzeszę zwolenników byłego kapłana. Przybycie oskarżonego powitano w sądzie brawami, za posłanką krzyczano: „Volksdeutsch, volksdeutsch”. Tłum skandował: „Nie islamska, nie laicka, tylko Polska katolicka”. Na następną rozprawę wyznaczono już specjalnie

zabezpieczoną salę, w której odbywały się procesy najgroźniejszych gangsterów. Wprowadzono też obowiązek uprzedniego uzyskania przepustki na rozprawę. 27 września sędzia uznała oskarżonego Międlara winnym znieważenia, dodając w uzasadnieniu, że „wpis niesie w sobie ogromny ładunek negatywnych emocji”, i skazała Międlara na 6 miesięcy ograniczenia wolności poprzez wykonywanie prac społecznych w wymiarze 30 godzin miesięcznie. – *W moim przekonaniu wyrok jest słuszny i co do kwalifikacji prawnej, i co do wymiaru kary. I takie stanowisko przedstawiłem po powrocie z sądu swoim przełożonym* – mówi prokurator Dariusz Korneluk. Mimo to jego szef złożył w sądzie dwa dni później wniosek o uzasadnienie wyroku.

To pierwsze skazanie Jacka Międlara. Wcześniej prokuratura w Białymstoku umorzyła śledztwo dotyczące nawoływania przez niego do nienawiści podczas marszu ONR w Białymstoku 11 listopada 2015 r. A skierowany już do sądu przez wrocławską prokuraturę rejonową akt oskarżenia przeciwko Międlarowi Prokuratura Krajowa poleciła z sądu wycofać. Chodziło o VII Marsz Patriotów z 2016 r. we Wrocławiu, gdzie Międlar, wynika z oskarżenia, „pod pozorem krzewienia postaw patriotycznych, publicznie nawoływał do nienawiści na tle różnic wyznaniowych i narodowościowych wobec osób narodowości żydowskiej i ukraińskiej”. Międlar nie krył wówczas satysfakcji: „Chcieli mnie oskarżyć za miłość do Ojczyzny!” – ogłosił w internecie. I dalej: „Mam nadzieję, że to się dokonuje. Że wymiar sprawiedliwości w Polsce jest przekazywany w ręce Polaków. Nie nienawistnego lewactwa i talmudycznego, nienawidzącego Polski, żydostwa”.

Rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie Łukasz Łapczyński złożył wniosku o uzasadnienie wyroku w sprawie Jacka Międlara tłumaczy: „Intencją prokuratora jest poznanie szczegółowych motywów, jakimi kierował się Sąd, dokonując zmiany kwalifikacji prawnej czynu i skazując oskarżonego za przestępstwo znieważenia. Uzyskanie pisemnego uzasadnienia ma umożliwić prokuratorowi dokonanie oceny słuszności decyzji Sądu”. Ciekawe, do jakich wniosków dojdzie?

VIOLETTA KRASNOWSKA



Politycy w roli programów

Coraz częściej wyborcy kierują się personaliami. Popierają wyraziste postaci, dając się uwieść walorowi nowości, nawet jeśli jest świeżość z odzysku. Mało kto już wczytuje się w partyjne deklaracje.

Przeglądam się wyborom u naszych czeskich sąsiadów, Andrejowi Babiszowi podającym się za polityka nowego i innym, którzy weszli tam do parlamentu. Próbuję zrozumieć, co się stało i czym właściwie kierują się wyborcy w krajach, gdzie ostatnio głosowano. W Austrii stery przejął Sebastian Kurz, kolejny polityk podający się za nowego w tym zawodzie. I również niedawna zmiana we Francji wydaje mi się w niektórych aspektach podobna.

Oczywiście Emmanuel Macron to inny kaliber niż jego nowi koledzy z Czech i Austrii, z którymi będzie teraz zasiadał w Radzie Europejskiej: obronił Francję przed nacjonalistycznym i rasistowskim populizmem Marine Le Pen, przyciągając wyborców do urn wielką wizją coraz mocniej zjednoczonej Europy. Na ile jego deklaracje były prawdziwe, jeszcze się okaże, bo na razie francuski protekcyjizm kwitnie, a wizja Europy dwóch prędkości ma się coraz lepiej. Ale tak jak pozostałym dwóm zwycięzcom, udało mu się uzyskać wizerunek człowieka spoza establishmentu, mimo że jest absolutem elitarnych uczelni, które kształcą przyszłą administrację publiczną i polityków, ma przeszłość bankowca, a potem ministra w rządzie Holandii. Sebastian Kurz jest młody, dynamiczny, wlewający nadzieję w serca. Mimo że odkąd go pamiętają, był działaczem młodzieżówki partyjnej, potem wiceministrem z ramienia austriackiej chadecji, przez cztery lata ministrem spraw zagranicznych, teraz będzie kanclerzem Austrii postrzeganym przez wielu jako nowa krew w polityce.

I wreszcie premier elekt Andrej Babisz, również posługujący się antyestablishmentową i antyelitarną retoryką, w czym bynajmniej nie przeszkadza mu fakt, że sam jest przedsiębiorcą, miliarderem i byłym ministrem finansów, że niby walczył z korupcją, ale sam jest oskarżony o defraudację funduszy europejskich. Jego partia ANO – Akcja Niezadowolonych Obywateli – rozbija tradycyjny porządek partyjny, do którego jesteśmy przyzwyczajeni: prawica, lewica i środek, zbierając ludzi z różnych stron i o bardzo różnych przekonaniach, dając im nadzieję na coś nowego. Potrzeba czegoś nowego umożliwiła również Macronowi zdobycie mocnego i ponadpartyjnego poparcia dla jego ruchu En Marche! Sebastian Kurz wprowadził pozostała chadeckiem, ale nie tylko walczył w wyborach odrzucając użytą nazwę: Österreichische Volkspartei (Austriacka Partia Ludowa), którą zamienił na: Liste Sebastian Kurz – die Neue Volkspartei (Lista Sebastiana Kurza – Nowa Partia Ludowa). Nadał też tej starej partii nowe zabarwienie w sensie dosłownym: zmienił jej czarny kolor na turkusowy.

Alte podobieństwa trzech nowych liderów państw członkowskich Unii Europejskiej się kończą. Bo o Babiszu piszą podobnie jak Tomasz Piątek o Antonim Macierewiczu, czyli wielu podejrzewa go o solidną siatkę powiązań z Putinem. Jednak liczę na to, że sytuacja u naszych sąsiadów będzie mniej dramatyczna niż w Polsce, bo Czechów, jak wiadomo, raduje absurd. Babisz jako Słowak z pochodzenia jest przeciwko imigrantom, jako wieloletni przedstawiciel czesko-słowackiej organizacji handlu zagranicznego w Maroku jest

przeciwko muzułmanom. To nie koniec dziwnych sprzeczności. W tym małym kraju aż dziewięć partii przekroczyło próg wyborczy. Jedną z nich jest prowadzona przez nacjonalistę czeskiego, który, wbrew temu, czego by się człowiek spodziewał, nazywa się Tomio Okamura, a urodził się w Tokio z jak najbardziej japońskiego ojca. Zdecydowanie proeuropejska partia sławnego Karela Schwarzenberga Top09 dostała się do parlamentu w Pradze nie tylko dzięki 80-letniemu księciu, założycielowi tego ugrupowania, ale też za sprawą Dominika Feri, który imponującą fryzurę afro odziedziczył po swoim etiopskim ojcu, a stroi się zdecydowanie staranniej niż jego stary cesarsko-królewski mistrz. Żeby Czechom nie było nudno, Babisz ogłosił, że widzi możliwość współpracy z Partią Piratów, młodych programistów, znanych między innymi z tego, że chcą zliberalizować prawo dotyczące używania marihuany. Z czterech ugrupowań, które w Czechach uzyskały największe poparcie, tylko jedna, ODS Vaclava Klause, jest partią w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, pozostałe przedstawiają się jako antyestablishmentowe antypartie.

Odnoszę wrażenie, że dla głosujących proporcja wagi osoby lidera do treści programu przesuwana jest coraz bardziej na stronę postaci reprezentującej partię. W pierwszej debacie prezydenckiej i w pierwszej turze wyborów we Francji młodszy od wszystkich innych kandydatów Emmanuel Macron wyróżnił się nie tylko swoimi zdecydowanymi proeuropejskimi poglądami, ale też zapałem i determinacją.

Tak jak w Austrii Sebastian Kurz uratował chadeczków bardziej swoją osobą i młodzieńczą energią niż programem, tak i w Czechach wybory koncentrowały się o wiele bardziej na osobach niż na partyjnych programach. To Andrej Babisz osobiście zebrał głosy dla ANO i wprowadził ją na zdecydowane prowadzenie. Mimo że partia TOP09 straciła 19 z 26 miejsc w ławach poselskich, to sam Karel Schwarzenberg, postać wyjątkowa i niezwykle popularna, po przeliczeniu głosów preferencyjnych uzyskał trzeci wynik w kraju, ale niemal równie beczenny dla jego partii był wynik wyżej wspomnianego Dominika Feri, który uplasował się na szóstym miejscu w kraju. Startował z 36. miejsca na liście i przeskoczył o 34 miejsca do przodu. Ten elegancki i przystojny 21-letni pół-Etiopczyk, student prawa i zamiłowany pianista jazzowy, zrobił lepszy wynik niż, poza Babiszem, którykolwiek szef partii startującej w tych wyborach! Szczerze wątpię, żeby ci, którzy stawiali krzyżyk przy jego nazwisku, bardzo starannie studiowali program partii.

Do solidnego zarządzania demokratycznym państwem i odpowiedzialnego angażowania obywateli w budowanie wspólnoty konieczny jest dobry i czytelny program. To przecież wiemy. Ogromnym wyzwaniem jest jednak, aby to on właśnie odgrywał w wyborach kluczową rolę. I piszę to pod wrażeniem ostatniej Konwencji Platformy Obywatelskiej w Łodzi z nadzieją, że w Polsce będziemy mieć merytoryczną dyskusję nad programami, bo to jest nam dziś najbardziej potrzebne.



© REUTERS/FORUM

Babisz górą

Partia Babisza przez ostatnie cztery lata współzrządziła, a jednocześnie budowała wizerunek ruchu protestu.

Nasz wyborca wybrał hazardową zagrywkę z demokracją – oceniał wyniki czeskich wyborów komentator internetowego dziennika aktualne.cz Jan Molaczek. Czechi – według Molaczka – miały image porządnego, cywilizowanego kraju Unii Europejskiej i dodatkowo bonus

w symbolicznej postaci Vaclava Havla. „A teraz, po wyborach, stajemy się jedną ze wschodnioeuropejskich guberni, które w okresie wyjątkowej prosperity nagle zatęskniły za rządami silnej ręki”.

Wybory w ostatni weekend wygrał ruch ANO21, zyskując 78 mandatów w 200-osobowej Izbie Poselskiej. Jego lider – miliarder Andrej Babiš – nie tyle ruchem kieruje, ile go raczej posiada, podobnie jak liczne firmy i media w całym kraju. Zapowiada, że państwem chce kierować tak jak

sprawną firmą i właśnie ta pragmatyczna retoryka przyniosła mu sukces. Krytycy twierdzą, że w rzeczywistości Babisz myśli o państwie jak o obiekcie dalszej ekspansji gospodarczej. Jego ANO21 przez ostatnie cztery lata już współzrządziło, a jednocześnie budowało wizerunek partii protestu.

ANO21 potrzebuje jednak partnera do rządzenia i zapewne szybko go znajdzie. Wielki sukces odniósł ekscentryczny Tomio Okamura, pół-Japończyk stojący na czele wyrosłego w ostatnich latach ruchu antyislamskiego Wolność i Bezpośrednia Demokracja (SPD). Zyskał 22 mandaty i zajął trzecie miejsce w wyborach w kraju, w którym prawie nie ma ani muzułmanów, ani uchodźców. Również z nim wyładowała prawicowa Obywatelska Partia Demokratyczna (ODS), w której jednym z liderów jest syn pamiętanego z ubiegłych lat byłego premiera i prezydenta Vaclava Klause. Ma takie samo imię jak ojciec i bardzo podobne poglądy. Cieszył się głośno z brexitu, chwali Trumpa i chce wychodzić z Unii. Tacy mogą być partnerzy Babisza do rządzenia. Rozmowy o koalicji już się zaczynają i będą nadal przebiegać w atmosferze kampanii wyborczej, bo na początku przyszłego roku Czesi mają wybierać prezydenta.

O nowej Europie Środkowej – s. 38.

Kurs na zderzenie

Katalonię opanował nastrój radykalizacji i przygnębienia.

Premier Hiszpanii Mariano Rajoy ogłosił plan głębokiego ograniczenia samorządności Katalonii. Szef autonomicznych władz katalońskich Carles Puigdemont plan odrzucił. Uznał go za najgorszy od czasów gen. Franco cios w instytucje samorządowe i społeczeństwo Katalonii. Zapowiedział, że poprosi regionalny parlament o debatę nad przyszłością kraju i deklaracją niepodległości. Premier Rajoy zapewnia, że Madrytowi chodzi tylko o przywrócenie porządku konstytucyjnego w Katalonii. Obiecuje, że nowe wybory regionalne odbędą się najpóźniej na wiosnę 2018 r. Ale obecni liderzy katalońscy prawdopodobnie nie będą mogli kandydować. Madryt zamierza m.in. znacznie ograniczyć rolę katalońskiego parlamentu i przejąć kontrolę nad instytucjami samorządowymi, finansami, regionalną policją i mediami publicznymi. Hiszpańska policja państwowa przesłuchiwała redaktorów naczelnych katalońskich mediów publicznych i kilku prywatnych czasopism, którzy zamieścili ogłoszenia zachęcające do udziału w plebiscycie.

Po wystąpieniu Rajoya na ulice Barcelony wyszły w pokojowym proteście setki tysięcy ludzi. Zapanował nastrój determinacji i radykalizacji, ale też rozczarowania i przygnębienia. To dość niebezpieczna mieszanka. Madryt odrzuca jednak apele o dialog. Apelowali o to nie tylko liderzy katalońscy, ale też niektórzy politycy europejscy, np. premier Belgii i grupa blisko 30 noblistów. Donald Tusk, odbierając w Hiszpanii Nagrodę Księżnej Asturii dla UE, powtórzył przed parą królewską i premierem, że dialog jest lepszy niż konflikt. Dla wielu Katalończyków prowokacyjnie zabrzmiały słowa hiszpańskiego ministra spraw wewnętrznych Alfonso Dastisa, że informacje o brutalnym zachowaniu policji państwowej podczas referendum to fake news, a wydarzenia w Katalonii to pełzający zamach stanu. Puigdemont ostrzegł, że jeśli wartości europejskie zostaną zagrożone w Katalonii, to będą też zagrożone w Europie.

Teraz Lombardia i Wenecja



© EAST NEWS

Od tego referendum do rozpadu Włoch jeszcze daleko, ale wynik głosowania, jakie w ostatnią niedzielę odbyło się w Lombardii i Wenecji Euganejskiej, może niepokoić. W obu regionach okazało się, że ponad 90 proc. głosujących jest za większą autonomią. Zwolennicy autonomii nie domagają się rozvodu z Włochami, ale też nie chcą, aby ich zamożne regiony, w sumie z ponad 30-proc. udziałem w PKB całego kraju, nadal sowsicie zasilają budżet w Rzymie. Oba regiony od lat czują się wykorzystywane, oddają do centrali więcej, niż otrzymują: z Lombardii do Rzymu w formie podatków trafia więcej o 54 mld euro niż to, co wraca w formie wydatków publicznych, a wkład netto Wenecji wynosi ponad 15 mld euro. Dodając do tego skuteczniejszą niż centralna administrację lokalną i sprawniejszą służbę publiczną, mieszkańcy obu regionów mają coraz mniej powodów, żeby chcieć inwestować we wspólny budżet.

Inicjatorem plebiscytów, w obu przypadkach, byli politycy Ligii Północnej, którzy zarówno w Lombardii, jak i w Wenecji mają większość. Głosowanie, choć niewiążące, miało im przynieść popularyzacji i zwiększyć szanse w wiosennych wyborach parlamentarnych. W przeciwieństwie do Katalończyków mieszkańcy włoskich regionów głosowali legalnie i w pełni zgodnie z konstytucją, która przewiduje możliwość poproszenia rządu centralnego o zwiększenie autonomii. Tyle tylko – co podkreślają przeciwnicy referendum – że zwrócić się do rządu w Rzymie można było i bez plebiscytu. Ale wtedy o sprawie nie byłoby głośno.



© REUTERS/FORUM

Lekcje wujka Xi

Chiny zaczną się rozpychać i mieć interesy wszędzie na świecie.

Nowe Chiny wchodzą w nową erę, trzecią w swojej blisko 70-letniej historii. Jednostki czasu w chińskiej polityce mają za patronów silnych przywódców: na początku dominowały przykazania Mao Zedonga, właśnie skończył się okres doktryny Denga Xiaopinga, a od teraz partia i państwo będą działać według ideologicznych instrukcji **Xi Jinpinga**. Koncepcje obecnego sekretarza generalnego trafią do statutu partii komunistycznej, i do podręczników szkolnych, wkuwać je będą uczniowie od podstawówki.

Delegaci na wielki zjazd partii usłyszeli od premiera Li Keqiang, dlaczego muszą przyswoić sobie pomysły otaczanego coraz silniejszym kultem szefa. Otóż myśli Xi to najnowsze osiągnięcie w dostosowaniu marksizmu i leninizmu, ważny element teorii socjalizmu o chińskich cechach. Chodzi po prostu

o patenty gwarantujące komunistom utrzymanie monopolu na władzę. Xi naucza, by działać tak, aby ludzie byli zadowoleni z poziomu życia i by kraj równomiernie się rozwijał, dzięki czemu w połowie wieku Chiny staną się globalnym mocarstwem, silną armią, innowacją i modną kulturą.

Wśród drogowskazów ustawionych przez Xi na drodze do wielkości znalazły się nakazy posłuchu dla woli partii i jej wewnętrznej dyscypliny oraz absolutny zakaz korzystania z zachodnich modeli, zwłaszcza inicjatyw pachnących próbami demokracji. Natomiast wiadomość dla otoczenia jest następująca: Chiny zrywają z fundamentalną nauką Denga o utajnianiu własnego potencjału, zatem zaczną się rozpychać i mieć interesy wszędzie na świecie. Na razie, mówią interpretatorzy strategii Xi, wypełnią luki opuszczane przez Stany Zjednoczone, np. będą oliwić globalizację i zaproponują swój model tam, gdzie zachodni kapitalizm się nie uda. Xi zaprasza, można korzystać.

Blogerka, która się nie bała

Daphne Caruana Galizia była znaną na Malcie dziennikarką śledczą. Zginęła w wyniku eksplozji zdalnie odpalanej bomby podłożonej pod jej samochód. Matka trzech dorosłych już synów, popularna blogerka, nie bała się w niewielkim katolickim kraju, w którym wszyscy się znają, pisać o korupcji wśród polityków. Dzięki tzw. Panama papers, dotyczącym rajów podatkowych, wpadła na trop niejasnych interesów w rodzinie samego premiera Malty Josepha Muscata. Z dokumentów miało wynikać, że pomiędzy firmą żony premiera a kontami bankowymi w Azerbejdżanie przepływały duże sumy pieniędzy. Premier i żona zaprzeczyli, że mają cokolwiek do ukrycia. Muscat w reakcji na rewelacje blogerki rozpiął przedterminowe wybory i wygrał.



© EAST NEWS

Zabójstwo dziennikarki wstrząsnęło Malcią. Tysiące ludzi zgromadziło się ze zniczami na modlitwie w jej intencji. Kondolencje złożył rodzinie papież Franciszek. Rząd zapewnił, że znajdzie sprawcę/sprawców. Ma w tym pomóc FBI. Daphne dobierała się do sekretów także polityków opozycji i funkcjonariuszy państwowych. Tragiczny koniec jej dziennikarskiej aktywności śledczej jest ciosem w demokrację i wolność słowa nie tylko na Malcie, bo kraj należy przecież do Unii Europejskiej, gdzie kontrolna funkcja prasy nad rządem jest zabezpieczeniem praworządności. Rząd maltański mocno naciskał na synów Daphne, by podpisali się pod ogłoszoną przez władze nagrodą miliona euro za informacje dotyczące skrytobójstwa. Ci zaś wezwali, by odsunąć od sprawy obecnego prokuratora generalnego i szefa policji i zastąpić ich osobami publicznego zaufania, które nie ukryją ewentualnych dowodów obciążających premiera.

Premier Jacinda

Światowa polityka młodnieje. Nowa premier Nowej Zelandii **Jacinda Ardern**, lat 37, może i nie dorównuje zwycięzcy austriackich wyborów sprzed kilkunastu dni Sebastianowi Kurzowi, lat 31. Jej Partia Pracy była zresztą dopiero druga i wypchnęła ją do władzy brak zdolności koalicyjnych zwycięskich konserwatystów. Ale o samej Jacindzie jeszcze kilka miesięcy temu mało kto słyszał. Ją z kolei popchnęła do kariery nieoczekiwana dymisja szefa partii na trzy miesiące przed wyborami, na skutek katastrofalnych notowań w sondażach. Siedem razy odmawiała, bo nie czuła się na siłach, ale kiedy stanęła na czele kampanii, wybuchła prawdziwa jacindomania. Ta mormonka, która została agnostyczką



© GETTY

(bo jest za związkami osób tej samej płci), zamiłowana DJ-ka, pokazała nową twarz laburzystów, pogruchootanych po trzech kadencjach w opozycji. Obiecała kraj równiejszych szans, wydzignięcie 200 tys. dzieci z biedy, zahamowanie spekulacji gruntami (głównie przez cudzoziemców, przez co zwyktemu obywatelowi coraz trudniej kupić mieszkanie), zwiększenie stypendiów, nacisk na prawa kobiet i zalegalizowanie marihuany do 2020 r.

Z tym otwartym programem społecznym może być kłopot, bo Partia Pracy tworzy koalicję z populistyczną i antyemigrancką New Zealand First (co jest mieszanką ognia z wodą) oraz z Zielonami. W praktyce rządzenia trzeba będzie iść na rozmaite kompromisy, oby nie okazały się zgniłe, bo kraj pokochał panią Ardern. A właściwie pannę, bo żyje w wolnym związku, i na zaczętku dziennikarza, czy wybierze się wkrótce na urlop macierzyński, odpowiedziała, że takich pytań nie zadaje się premierowi w XXI w.

Teatr Jakiego

Ministerstwo Sprawiedliwości ujawniło projekt ustawy reprivatyzacyjnej. Zakończy reprivatyzację. Ale skorzystają na niej ci, których będzie na to stać. No i politycznie PiS, dla którego komisja reprivatyzacyjna jest świetną bronią do walki z PO o Warszawę.

EWA SIEDLECKA

Prawdopodobnie powstanie nowa „mafia reprivatyzacyjna”: zarabiająca już nie na kupnie roszczeń, ale na procencie od załatwianych rekompensat. – *Ta ustawa to typowy przykład loi spectacle, czyli prawa-teatru. Akcja na scenie maskuje to, co napisał autor* – ocenia prof. Ewa Łętowska.

Przesłanie ustawy jest szlachetne: rekompensowanie krzywd ludziom wyzutym przez komunistów z własności. Prawdziwe intencje? Zna je tylko PiS. Ale prawo do rekompensaty może się okazać wirtualne. Można powiedzieć: i dobrze, bo zaoszczędzimy pieniądze, które trzeba by wydać na rekompensaty. A reprivatyzacja powoduje straty społeczne i krzywdy. Ale po 1989 r. rozumowano dokładnie odwrotnie: że krzywdy stworzyła nacjonalizacja, a reprivatyzacja ma je wyrównać. Zawsze jest czyjaś krzywda. Teraz doszliśmy do momentu, w którym za mniejszą krzywdę uważamy tę wyrządzoną właścicielom.

Peelerowskie ustawy nacjonalizacyjne uchwalano tuż po wojnie, budując na gruzach kraju i państwa nowy ustrój. Były pisane przez przedwojennych, niezłych prawników. Dekret Bieruta przewidywał odszkodowania za przejmowane mienie. Tyle że tego nie wykonywano. Także w obecnej konstytucji jest przepis o wyłączeniu na ważne cele publiczne za godziwym odszkodowaniem, więc wyłączenie to nie był tylko eksces komunistów. Ich ekscesem była nacjonalizacja przemysłu i ziemi. Ale nacjonalizacji przemysłu projekt PiS akurat nie planuje rekompensować.

PRL nagminnie łamała własne prawo nacjonalizacyjne: państwo przejmowało majątki niepodlegające nacjonalizacji albo nie dawało obiecanych odszkodowań. Stało się to dodatkowym powodem powstania roszczeń reprivatyzacyjnych.

Ale reprivatyzacji mogło w ogóle nie być. Trybunał w Strasburgu ocenił szereg ustaw reprivatyzacyjnych uchwalanych w krajach byłego bloku socjalistycznego i stwierdził, że państwa mają swobodę w regulowaniu tych spraw. Mogą oddawać wszystko, część lub nic. Warunek jest jeden: żeby osoby będące w takiej samej sytuacji traktować tak samo.

Więc można byłoby zdecydować, że w Polsce reprivatyzacji nie będzie. Ale przez 27 lat nie zdecydowano w tej sprawie nic. Wszystko przerzucono na sądy. Byli właściciele skarżyli się do nich na odebranie majątku. A sądy przyznawały im rację tylko wtedy, gdy nastąpiło to ze złamaniem peerelowskiego prawa nacjonalizacyjnego. Korzystały z przepisu, który pozwala stwierdzić nieważność decyzji administracyjnej (w tym wypadku – o nacjonalizacji) wydanej z naruszeniem prawa lub bez podstawy prawnej (czasem wręcz zbyt dowolnie uznawały, że to prawo zostało naruszone).

Dokładnie tę samą zasadę przyjął teraz rząd PiS w ustawie reprivatyzacyjnej: rekompensata należy się jedynie za majątek

przejęty z naruszeniem ówczesnego peerelowskiego prawa. I słusznie, bo delegalizacja dekretu Bieruta, reformy rolnej i innych przepisów nacjonalizacyjnych w całości wywołałyby trudny do opanowania destrukcyjny chaos prawny i faktyczny.

A więc sądy uznawały roszczenia reprivatyzacyjne. Przedwojenni właściciele, spadkobiercy lub osoby, które odkupiły od nich roszczenia, zgłaszały się do władz, które przejęły nieruchomość niezgodnie z prawem. Te zaś mogły albo oddać nieruchomość, albo wypłacić odszkodowanie. Kamienice najchętniej oddawano w naturze, bo wymagały remontu i władze miały nadzieję, że prywatni właściciele w nie zainwestują, zachowując „substancję mieszkaniową”. I najczęściej tak się działo, choć zwykle kosztem rugowanych lokatorów. By zatem ochronić z kolei interesy lokatorów, dawano właścicielom odszkodowania. Ale budżet państwa niechętnie je dotował, a rząd PiS w ogóle odmówił Warszawie pomocy państwa w tej sprawie. Więc znowu zaczęto oddawać „w naturze”.

Do tego pojawił się problem handlarzy roszczeniami. W tym handlowaniu też nie byłoby nic złego, bo skoro właściciel nie ma pieniędzy na procesowanie się o nieruchomość, a potem na jej remonty – to lepiej sprzedać roszczenia za niewielką nawet sumę, niż nie mieć nic. Tyle że handlarze posuwali się do oszustw i wyłudzeń.

Sądowa łatwizna

Sądy nie badały, czy kwota odsprzedazy roszczenia jest zgodna z zasadą sprawiedliwości społecznej ani czy były właściciel – często osoba mocno starsza – zdawał sobie sprawę z sytuacji. Sądy nie badały też wystarczająco starannie, czy osoba, która zgłasza roszczenia, rzeczywiście ma prawa do nieruchomości. Albo czy kurator





ILUSTRACJA IGOR MORSKI

majątku działa w imieniu osoby żyjącej. Brały też na wiarę wyceny przedstawiane przez osoby posiadające prawo do roszczeń, nie badając, czy np. kamienica uległa znacznemu zniszczeniu podczas wojny i została odbudowana po nacjonalizacji. Gdyby zbadały, mogłyby orzec zwrot za dopłatą – za dokonaną przez państwo odbudowę (tak robiły sądy w PRL). A to by się byłemu właścicielowi niekoniecznie opłacało.

Sądy – i to jest ich wkład w patologię reprivatyzacji po 1990 r. – przyznawały też odszkodowania za „bezumowne korzystanie” z nieruchomości – i to wstecz, od momentu nacjonalizacji. Choć nie musiały. A już na pewno nie przemawiał za tym interes społeczny. Beneficjentką dziesiątków milionów takich odszkodowań była np. urzędniczka Ministerstwa Sprawiedliwości Marzena K., która z przejmowania roszczeń uczyniła sobie wielki biznes.

Patologia się utrwałała, bo w sądach panuje owczy pęd do powielania rozstrzygnięć (metoda „wytnij-wklej” znakomicie upraszcza orzekanie). I tak tworzy się toksyczna linia orzecznicza, od której odstąpienie wymaga od sędziego odwagi i kreatywności. Do tego urzędnicy miejscy, występując w tych procesach jako strona, niezbyt aktywnie bronili interesu miasta, co pokazały choćby przesłuchania przed komisją weryfikacyjną ministra Patryka Jakiego. Nie wykorzystywali wszystkich możliwości interpretacji prawa, choćby wskazanego przez ruchy obrony lokatorów przepisu art. 7 ust. 1 dekretu Bieruta, według którego osoba ubiegająca się o zwrot gruntu lub odszkodowanie za jego nacjonalizację musiała wykazać się „posiadaniem nieruchomości”. „Posiadanie” to zaś oznaczało, że w chwili wywłaszczenia faktycznie na tym terenie mieszkała lub nim zarządzała. Ani warszawski Ratusz, ani sądy nie badały tej okoliczności.

Sądy i władze miast – szczególnie Warszawy – obudziły się dopiero, gdy reprivatyzacja, z powodu krzywd lokatorów i olbrzymich kosztów, stała się skandalem. Wtedy też (w 2015 r.) zapadł m.in. wyrok Trybunału Konstytucyjnego, że przepis, na podstawie którego unieważniano decyzje nacjonalizacyjne dokonane z naruszeniem prawa, jest niezgodny z konstytucją przez to, że nie wyznacza granicy czasowej, po której nie można już obalić takiej decyzji. Granicę – dziesięcioletnią – wprowadził poprzedni parlament.

Teraz z tego samego przepisu korzysta komisja weryfikacyjna, unieważniając decyzje reprivatyzacyjne podejmowane formalnie przez prezydent Warszawy Hannę Gronkiewicz-Waltz.

Niektórych i niektórym

Ustawa PiS nazywa się „o zrekomensowaniu NIEKTÓRYCH KRZYWD wyrządzonych osobom fizycznym wskutek przejęcia nieruchomości lub zabytków ruchomych przez władze komunistyczne po 1944 r.”. Jednak żeby tytuł oddawał treść ustawy, powinna się nazywać „o zrekomensowaniu krzywd wyrządzonych NIEKTÓRYM OSOBOM fizycznym”. „Niektórym”, czyli tym, którzy będą mieli zdrowie, czas i pieniądze przejść tor przeszkód ustawiony w procedurze zgłaszania wniosku o rekompensatę.

Rząd, przedstawiając wcześniej założenia ustawy, podkreślał, że bardzo ogranicza ona krąg mogących dostać rekompensaty: tylko najbliższa rodzina właściciela. A więc eliminuje to handel roszczeniami. Pokazana w piątek ustawa tworzy też mnóstwo innych ograniczeń. Np. rekompensata należy się tylko obywatelom polskim. I tylko jeśli byli obywatelami także w momencie nacjonalizacji. Wyłączeni z rekompensat są np. ci, którzy stracili polskie obywatelstwo w związku z powojennym przesunięciem granic (choćby Polacy na ziemiach wschodnich oddanych ZSRR). Nie będzie rekompensaty za znacjonalizowane zakłady produkcyjne. Nawet małe. Ani za apteki. Za to mają być odszkodowania za ziemię zabraną z naruszeniem prawa w ramach reformy rolnej. A przecież, jak zauważa prof. Łętowska, wszystko to są „środki produkcji”. Dlaczego za jedne „środki produkcji” jest rekompensata, a za inne – nie? To sprzeczne z zasadą równości.

Wyłączeń z prawa do rekompensaty jest w pisowskim projekcie znacznie więcej. I to zapisanych w tak skomplikowany sposób, z powołaniem na dziesiątki rozmaitych ustaw i przepisów, które wydano po wojnie w ramach nacjonalizacji, zmiany granic czy później w ramach prób porządkowania nacjonalizacji, a potem reprivatyzacji, że nie będzie możliwe napisanie wniosku bez pomocy prawnika. A i prawnicy będą mieli problemy, bo przesłanki wyłączeń z rozmaitych aktów prawnych nakładają się, utrudniając ustalenie stanu prawnego. Całkiem możliwe, iż nawet twórcy ustawy nie mają pewności, kto „podpada” pod rekompensatę. Może o to właśnie chodzi: dostajemy prawo, z którego bardzo trudno skorzystać.

Ten galimatias prawny mają rozwikływać wojewodowie – bo to do nich składa się wnioski o rekompensaty. Prof. Łętowska, która była m.in. sędzią Naczelnego Sądu Administracyjnego, wątpi, by na ostateczne rozstrzygnięcie sprawy o rekompensatę czekało się mniej niż kilka lat. Bo po pierwsze, „przerobienie” tych wniosków przez administrację będzie trwało. Po drugie, decyzja o rekompensacie jest zaskarżalna na drodze administracyjnej i sądowej. Ustawa będzie nowa, więc wszyscy stosujący ją będą musieli dokonywać interpretacji skomplikowanego prawa i – być może – zawieszać postępowania, jeśli przepisy będą skarżone do Trybunału Konstytucyjnego. Po trzecie, sama materia reprivatyzacyjna to pole ostrych konfliktów właściciele–państwo, a ustawa z jej niesłychaną kazuistyką i niejasnościami jest sama w sobie bardzo konfliktorodna. I, po czwarte, mechanizm ustawy, zapewne dla ochrony finansów państwa, tak w jawny, jak i ukryty sposób, spowalnia drogę do ostatecznego uzyskania jakiegokolwiek rekompensaty. ▶